

DARIUSZ ŁOWCZYNOWSKI

Kto sieje wiatr...

– Jasiek! – rozległ się głos w sąsiedniej izbie.

Janek uniósł z wielkim trudem powieki i nieprzytomnym wzrokiem omiół wyłaniające się z ciemności kontury sprzętów codziennego użytku. Usiadł na łóżku, zastanawiając się, dlaczego matka budzi go w środku nocy.

– Rusz się, serdeńko, zaraz będzie świtać – ponaglała.

– Już, matulu, już wstaję – mruknął, ziewając i przeciągnął się leniwie, by rozprostować kości.

Po omacku przeszedł przez izbę. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem. Janek był bardzo wysokim, szczupłym siedemnastolatkiem – zupełnie niepodobnym do swych rodziców, ludzi o krępej budowie. Musiał się pochylić, by przejść przez drzwi do kuchni, a i tak omiół framugę gęstą kruczoczną czupryną. W chwilach pijackiej słabości ojciec wielokrotnie zarzucał mu, że jest podciepem podmienionym przez mamunę. Janek starał się nie okazywać, ile bólu sprawiają mu te słowa. Wystarczyło, że musiał znosić pogardliwe spojrzenia starszych kobiet, przytyki rówieśników oraz chłodne spojrzenia dziewcząt, nieczułych na jego umizgi.

– No, mosz sam tobołek ze śniadaniem i ruszej w drogę. – Matka wcisnęła mu w dłońe pakunek sporych rozmiarów.

– Idźże już, synku, coby cię po drodze nie spotkał ociec, jak będzie wracać z lasu – dodała życzliwie i z czułością ucałowała go w policzek.

Jadwiga odprowadziła syna rozmarzonym spojrzeniem. Ilekroć na niego spoglądała, widziała w nim odbicie swego kochanka sprzed lat i wracały wspomnienia upojnych chwil spędzonych z czarującym nieznajomym. Choć po wsi krążyły plotki na ten temat, Jadwiga nigdy nie wyjawiała nikomu prawdy, że Janek nie jest synem jej męża. Nigdy też nie żałowała tego grzechu, a dziecko kochała całym sercem.

Stojąc w progu chaty, pomachała Jankowi, który wyciągał ze stodoły płachtę z króliczymi skórami.

– A ino dobrze się targuj z paniskami! – krzyknęła matka. – I niech cię rynka boska broni, jak przefurtasz pieniądze!

– Bodajby mnie lichy porwało! – Janek roześmiał się i poszedł na jarmark do pobliskiego miasta.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a Janek wciąż nie wracał. Jadwiga co rusz wybiegała z chaty, wypatrując powracającego z miasta syna. Z lękiem obserwowała nadciągające od południa burzowe chmury. Gdy przez pociemniałe niebo przetoczył się grzmot, ukradkiem nakreśliła na piersiach znak krzyża.

– Uspokój się, babo – warknął z wnętrza chałupy jej mąż, Antek. – Diobły go nie weznom, najwyżej dyszcz zlyje... A jak wróci, to już jo mu skóra przetrzepia!

Nagle zerwał się silny wiatr, podrywając z ziemi tumany pyłu i słomy leżącej przed stodołą. Niebo przeszła pierwsza błyskawica i za chwilę zawtórował jej ryk gromu. Jadwiga zamarła z przerażenia: pomiędzy drzewami w sadzie zobaczyła widmową postać swego kochanka sprzed lat.

– Jadźka, zawrzyj drzwi! – krzyknął Antek zajęty struganiem zabawki, która miała wkrótce dołączyć do pokaźnej kolekcji drewnianych figurek. – Zawieraj i chodź do chałupy, bo jeszcze tu jaki usraniec wleci.

Zaniepokojony brakiem odpowiedzi, odłożył dłutko, podniósł się z ławy i wyszedł przed dom. Już otwierał usta, by zwymyślać żonę, gdy słowa uwięzły mu w gardle. Jadwiga klęczała na podwórku. Kwiląc słabiutko jak dziecko, złobiła rękami głębokie bruzdy w suchej ziemi.

– Jadźka, co ci? – Antek podbiegł do żony i oderwał jej ręce od ziemi. – Jadziu, co się stało?

Jadwiga uniosła zakrwawioną dłoń i odwróciła głowę w stronę sadu. Zawyla przeraźliwie niczym potępiona dusza. Antek poczuł, jak skóra cierpnie mu na karku, a w żołądku wije się lodowaty wąż. Przytulił mocno żonę i nie wypuszczał z objęć.

– Zabroł go. – Szlochała spazmatycznie. – Zabroł Jaśka.

– Kto, Jadwisiu? – zapytał szeptem Antek.

– Diobol! – krzyknęła. – Diobol odebrał mi Jaśka.

Na wysuszoną ziemię spadły pierwsze krople życiodajnego deszczu. W brudach wrytych palcami Jadwigi deszczówka zabarwiła się na czerwono.

Zbliżało się południe, gdy Nędzowa – postawna kobieta o słusznej wadze – wychyliła nos z chaty. Jak co dzień ruszyła przez wieś od chałupy do chałupy. Jak za dawnych czasów, tak i dziś krążyła po wsi niczym południca, zaglądając ciekawie przez okna do chat sąsiadów. Kiedyś kobiety często wychodziły do niej i długo gwarzyły przy płocie. Teraz, choć baby nadal były skore do plotek, miały dość starej Nędzowej i na jej widok uciekały do domów, wymawiając się robotą. Swego czasu Jadźka Antkowa, doprowadzona do furii przez złośliwy język starej plotkary, wylała na nią wiadro pomyj, gdy ta przyszła z sąsiedzką wizytą. Od tego dnia śmiertelnie obrażona Nędzowa nie przepuściła żadnej okazji, by dogryźć Jadwidze i jej rodzinie, a temat do plotek pozostawał ciągle ten sam. Zwłaszcza odkąd Janek zaginął, a Jadwiga postradała zmysły.

Nędzowa kroczyła żwawo przez wieś, co rusz rzucając spojrzenia na boki. Oczy miała bystre, jakby widziały przez ścianę i jak żadne inne we wsi potrafiły dostrzec to, czego nie powinny. Specjalizowała się w publicznym praniu cudzych brudów, zwłaszcza intymnych, a każda taka nowinka roznosiła się po wsi lotem błyskawicy.

Dziś humor dopisywał jej szczególnie i już nie mogła się doczekać, kiedy się podzieli nowymi wieściami, ale jak na złość nikogo nie mogła dojrzeć. Nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wypatrzyła słuchacza. Radosna jak skowronek, zaczęła cichutko śpiewać pod nosem:

*Tante Ana juk do siana,
Wykopła wasermona,
Wasermon się zlenk
Na kolana klenk,
Tante Anie pempek penk¹*

– Cie choroba, idzie ku nom ta zło krew – jęknęła Michałowa.

Pogodzona ze swym sędziwym wiekiem drobniutka staruszka siedziała przed chatą na wygodnym drewnianym krześle, wygrzewając się w wiosennym słońcu. Niegdyś była znaną, szanowaną znachorką i akuserką. Mawiano, że za młodu pobierała nauki w gimnazjum, co raczej nie mogło być prawdą, ale uważano tak z tej racji, że jako jedna z nielicznych we wsi była piśmienna. Odnoszono się do niej z wielkim szacunkiem, bo pomimo przeżytych dziewięćdziesięciu sześciu wiosen nadal zachowała bystry, sprawny umysł i niejednokrotnie służyła ludziom pomocą i mądrą radą. Starość jednak jej nie oszczędziła, bo choć Michałowa była w pełni władz umysłowych, straciła wzrok i poruszała się z wielkim trudem. Dlatego przygarnęła do siebie Anielę, młodą, piękną i uczynną dziewczynkę. Okrutny los zabrał dziewczynie rodziców. Pozbawiona własnego miejsca na ziemi, tułała się od wsi do wsi. Pewnego dnia zapukała do drzwi Michałowej. Staruszka zlitowała się nad losem pokrzywdzonej dziewczyny i przyjęła ją do siebie. Aniela pokochała ją szczerze. Z wdzięczności za ofiarowane miejsce pod strzechą pracowała z wielkim zapałem w gospodarstwie, starając się staruszce przychylić nieba. Michałowa, która też szczerze pokochała dziewczynę, uczyła ją wszystkiego, co wiedziała o ziołach, prawach natury, a nawet wprowadzała ją w arkana wiedzy tajemnej.

– Zgiń, przepadnij! – Aniela zerwała się przestraszona znad robótki. – Kaj ciotko? Nie widzę jej!

– Choćem ślepo, jak tyn kret, to już z dala słyszę jej gynganie. – Staruszka zarechotała.

– Odprawię ją. Powiem, że drzemiecie. – Dziewczyna spojrzała czule na Michałową.

– Zostaw – mruknęła. – I tak tu wlezie.

– Szczyńś Boże – pozdrowiła ich Nędzowa, po czym nie czekając na odpowiedź, ruszyła przez podwórko.

– Daj Boże – odpowiedziała Michałowa.

Aniela udawała, że nie widzi natrętnego gościa i tylko wzdychała, znacząco wpatrzona w robótkę.

– Sprawdź, dziołcha, czy cię w chałupie ni ma – rzuciła niedbale Nędzowa, zbywając dziewczynę machnięciem ręki. – A i przynieś nom tu mlyka – dodała, uśmiechając się paskudnie.

¹ Wierszowanka z okolic Kędzierzyna-Koźła [w:] „Wielka księga demonów polskich”, Barbara i Adam Podgórcy, Wydawnictwo KOS, Katowice 2005.].

Dziewczyni ze wzburzenia krew zawrzała w żyłach, ale ze względu na Michałową ugryzła się w język i nie odezwała ani słowem. Nędzowa odprowadziła ją wzrokiem aż za próg.

– Przepyńdź te przybłynde, wujenko – syknęła ściszym głosem. – Lyń i pyskoc, to jakie czarcie nasinie być musi. Mówię ci, odegnaj to od dom, bo jaką bidę ci tu sprowadzi.

– Głupoty pleciecie, Nędzowa – oburzyła się Michałowa. – Godojcie lepiej, jakie to wieści macie, bom słyszała, jak wam ozór o zymby dzwoni.

Kobieta się skrzywiła, jakby jej ktoś dał w twarz, ale nie odważyła się odpowiedzieć złościwością. Nawet ona czuła respekt przed starą Michałową.

– We wsi ludzie godojom, że wczora wieczorem Antek sproł Jadźkę aż do krwi – zaczęła konspiracyjnie starucha. – Od kiedy tyn podciep Jasiak poszedł w świat – no bydzie już ze pięć roków – a Jadźce bies we łbie pogmerał, to chłopisko się strasznie z żalości rozpiło. Z baby żadnego pożytku w gospodarstwie czy w łóżku ni ma. W łóżku, he, he, he, to nigdy uciechy z niej ni miał, bo dogodzi kto takiej, co bękartą z diobłem spłodziła?

– Nędzowa! – Michałową aż zatrzęsło z gniewu.

– A co, a co – oburzyła się. – Nie łażiła po wsi, nie godała, że diobeł odebrał, co jego? No co, nie godała? To co się dziwić chłopu, że ją pierę.

– Jadwiga zmysły postradała, bo jej matczyne serce z żalości pynkło – nie wytrzymała Michałowa. – Jaśka kochała ponad wszystko. A chopok na schwał był, tylko wyście onemu i Jadźce żyć nie dawali. Wasz to żmijowy jęzor jad sączył w ten dom i rodzinę, świntości żadnej nie szanując. I wiary dać nie dam, że Jasiak w świat poszedł, przyndziej go jakie lichy zwiodło i w lesie zadusiło, abo świecorz na bagniska sprowadził. A wom radzę dziób zawrzyć i nie mącić więcej!

– No co wy, Michałowo... – Nędzowa aż języka w gębie zapomniała i pewnie by prędko mowy nie odzyskała, gdyby nie to, że nagle coś innego przykuło jej uwagę.

Od strony Białych Morgów do wsi zmierzał Francik. Nędzowa zerwała się prędko i podeszła do płotu. Na jej widok chłop skrzywił się, jakby na żmiję w trawie nastąpił, i już chciał skrócić i czmychnąć za stodołę Pielesiaków, gdy doścignął go głos Nędzowej.

– Francik, a poć sam ino ku nom! A co to już starej ciotki nie poznajesz, ja? Od roboty w polu w oczach ci się pociemniło?

– Pochwalony, cioteczko, pochwalony – warknął chłop.

– Chwalić to robotę, kie słońce zańdzie. – Kobieta się zaśmiała. – A ty co, już z pola schodzisz?

– Ciepłem robotom, bo Bioła Pani z lasa nos wyściubiła. Wlazła w pole i stoi jak tyn chochoł, tom co miał robić? – Chłop rozłożył bezradnie ręce.

– A tak chycić się nazod roboty! – rozdarła się Nędzowa.

Tymczasem z chaty wyjrzała Aniela, zaciekawiona wrzawą na podwórku. Michałowa przywołała ją do siebie gestem dłoni.

– Anielu, pójdz zaraz do Jadwigi i zobacz, czy jej jakiej pomocy nie trza. Ponoć Antek obił ją bardzo – powiedziała półszepem, by czasem Nędzowa nie usłyszała.

– Dobrze, cioteczko. – Dziewczyna skinęła głową i wróciła do chaty po zioła i maści.

Po chwili wyszła z niewielką płócienną torbą przewieszoną przez ramię. Nachyliła się nad staruszką i ucałowała ją serdecznie.

– Dacie sobie radę, cioteczko? – zapytała z troską. – Wrócę tak prędko, jak będę mogła.

– Nie martw się, dziecko, dam ja sobie rady – zapewniła Michałowa.

– ...A robić ni ma komu! – Nędzowa nie odpuszczała Francikowi, lecz kątem oka dostrzegła zmierzającą w jej stronę Anielę. – A mlyko kaj?

– U krowy – odcięła się dziewczyna, wskazując na odchodne na pasącą się na łące krasulę.

Zmierzchało już, gdy Aniela wychodziła z domu Jadwigi i Antka. Niestety, prawdę mówiła Nędzowa, z Jadźką było bardzo źle. Pijany Antek pobił ją tak dotkliwie, że nie mogła wstać z łóżka. Kojące ból maści i ziołowe okłady poradziły sobie ze stłuczeniami i opuchlizną. Anielę niepokoił jednak brzuch kobiety. Był nabrzmiaty, a jednocześnie twardy jak deska. Obawiała się, że któryś z organów może być uszkodzony i Jadwiga ma krwotok wewnętrzny. W tym wypadku dziewczyna mogła tylko złagodzić ból i sprowadzić sen, podając chorej wywar z maku. Chciała szybko dotrzeć do domu, zajrzeć do Michałowej i

wrócić do Jadwigi. Bała się, że chora nie przeżyje nocy. Na pomoc Antka nie miała co liczyć. Z tego, co zrozumiała ze słów majaczącej Jadwigi, mąż poszedł do lasu, szukać diabła.

Niebo przeszła błyskawica. Aniela wzdrygnęła się przestraszona. Nawet nie zauważyła, że nadciąga burza. Od południa zerwał się porywisty wiatr, a drzewa w pobliskim lesie zatańczyły niespokojnie. Niespodziewanie lunął rześisty deszcz. Dziewczyna skuliła się i przyspieszyła kroku. Gospodarstwo Antka było nieco oddalone od wsi, więc do domu pozostało jej jeszcze sporo drogi. Kolejny piorun rozerwał zachmurzone niebo i uderzył wprost w drzewa na skraju lasu, tuż nieopodal przechodzącej Anieli. Impet uderzenia powalił ją na ziemię. Dźwignęła się nieporadnie z trawy. Wciąż dzwoniło jej w uszach. Nagle serce zamarło jej w piersiach. Z miejsca, gdzie piorun powalił drzewo, wyłoniła się świetlista postać. Ku Anieli zmierzał nienaturalnie wysoki mężczyzna. Gdy się przed nią zatrzymał, dostrzegła wszystkie upiorne elementy jego fizjonomii. Twarz o surowych, topornych rysach była biała jak zwiewne płótno, w które był odziany. Jego oblicze okalały długie kruczoczarne włosy, które tańczyły w podmuchach wiatru jak żywe. Najbardziej przeraziły ją jego czarne oczy, przepastne niczym otchłań bez dna. Mężczyzna ujął twarz dziewczyny w swoje wielkie dłonie i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Jak cię zwa? – Jego szept zabrzmiał niczym szelest wiatru w wysokich trawach.

– A-a-a-aniela. – wyjąkała przerażona.

Wpatrywał się w nią z nieukrywaniem zaciekawieniem. Przekrzywił głowę niczym niesforny psiak i pogładził dziewczynę po policzku długimi smukłymi palcami.

– Nie znam cię. – Uśmiechnął się upiornie, obnażając równe białe zęby, a w jego mrocznych oczach zapłonęły dwie maleńkie iskierki.

– Trzy wiosny temu przygarnęła mnie Michałowa. Jestem sierotą – wykrztusiła, nie mogąc opanować drżenia.

– Nie lękaj się. – Głos mężczyzny zabrzmiał jak kojący szmer górskiego strumyka. – Nie zrobię ci krzywdy – dodał, po czym przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował.

Anielę przeszył nieznany do tej pory błogi dreszcz, przebiegając po kręgosłupie i rozchodząc się po całym ciele. Żar pocałunku docierał do każdego jego zakamarka. Fala za falą. Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie i przeszywający ból, który umiejscowił się tuż za jej oczami. Straciła przytomność i osunęła się na trawę.

Odurzona naparem z maku Jadwiga trwała w niespokojnym półśnie. Zdawało się jej, że w sadzie płaczą jabłonie, w strugach deszczu za oknem pływają radośnie polne rusałki, a ktoś znajomy woła ją po imieniu z chmur.

– Miły mój – szepnęła. – Przyjdź po mnie.

– Wołałaś mnie? – Usłyszała chrapliwy głos, który zmroził jej krew w żyłach. – Ckliwa żonka, nie ma co. – Antek zaśmiał się złowieszczo.

Zaskoczona Jadwiga uniosła się z wielkim trudem na posłaniu. W otwartych drzwiach zobaczyła krępa sylwetkę męża. Antek delikatnie zamknął drzwi i ruszył przez sień. Zatrzymał się przed dębowym stołem, gdzie zwykł przesiadywać wieczorami, strugając swoje figurki. Bębniąc palcami o blat stołu, zdradzał oznaki wielkiego napięcia.

– Kim on jest? – zapytał nienaturalnie spokojnym głosem. Przerażona Jadwiga nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Rozglądała się tylko wokoło, jakby szukając ratunku.

– Z kim się gziłaś, hadro?! – ryknął. – Czyj to bękart?!

Kurczowo zacisnął dłoń na leżącym na stole przedmiocie i odwrócił się do żony. Za oknem uderzył piorun. Drewniane okiennice i fragmenty stłuczonego jasnobrązowego muskowitu wpadły z głośnym trzaskiem do środka, a ze stropu obficie posypały się drzazgi i słoma ze strzechy. Trawiony wewnętrznym ogniem Antek nawet tego nie dostrzegł. Rzucił się na żonę i zamachnął, by zadać cios.

– Kocham cię, Jadzka, ale możesz być ino moja! – krzyknął rozpaczliwie i wbił rzeźbiarskie dłuto prosto w jej serce.

Trzy razy.

Jadwiga nie zdążyła krzyknąć. Spojrzała tylko przez wyrwę w dachu na fragment pochmurnego nieba i uniosła drżącą rękę. Uśmiechnęła się błogo i wydała ostatnie tchnienie.

Antek spoglądał na nią z niedowierzaniem, nie mogąc się pogodzić z tym, co przed chwilą zaszło. Przegrał. Kolejny raz odebrano mu żonę. Nawet śmierć nie mogła jej powstrzymać przed zdradą. Nie usłyszał, jak ktoś wyłonił się z mroku sieni.

– Ojczy? – rozległ się głos, uderzając w Antka niczym podmuch mroźnego wiatru.

Odwrócił się i niemal zderzył z pochylającą się nad nim upiornie bladą twarzą syna. Z wrażenia upuścił zakrwawione dłuto, które, upadając, wbiło się w drewnianą podłogę. Nie umknęło to uwadze Janka, który szerzej otworzył zdumione oczy. Omiótł wzrokiem całą izbę i zatrzymał spojrzenie na zamordowanej matce. Na dworze natychmiast zapadła cisza, jak makiem zasiał, jak gdyby natura wstrzymała oddech wraz z nim. Chłopak otworzył usta w niemym krzyku. Temperatura w chacie obniżyła się gwałtownie o kilkanaście stopni.

Antek stał jak sparaliżowany. Mnóstwo myśli kłębiło mu się w głowie, a jednak nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, którymi mógłby wyrazić to, co czuje. Po twarzy ciekły mu łzy; nawet nie starał się ich powstrzymać. Na policzkach poczuł piekący ból. Dotknął bolącego miejsca i syknął. W palce wbiły mu się ostre kryształki lodu. Mroźne powietrze zamieniło łzy w sople. Tego było już za wiele! Więcej nie był w stanie wytrzymać! Zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

Janek spojrzał na niego z pogardą i nieskrywaną nienawiścią. Zaciśnął pięści.

– Morderca! – ryknął, a wicher porwał jego okrzyk i poniósł po całej okolicy.

Zawtórowała mu seria gromów, które bezlitośnie chłostały ziemię wokół chaty. Pioruny rozerwały na strzępy wszystkie jabłunki rosnące w sadzie, dach stodoły uniósł się, poderwany gwałtownym podmuchem wiatru. Nieziemskie wycie przeszło uszy wszystkich mieszkańców wioski. Chmury tuż nad gospodarstwem Pielesiaków zaczęły wirować w zawrotnym tempie, opuszczając na ziemię lej kotłujących się mas powietrza. Rycząca trąba opadła wprost na stodołę, rozszarpując ją zupełnie. Deszcz drewnianych drzazg zasypał całą okolicę.

Antek nie przestawał wrzeszczeć. Zewsząd smagały go bicze mroźnego wiatru i wirujące po chacie odłamki połamanych sprzętów domowych. Klęcząc nad martwym ciałem matki, Janek szlochał jak dziecko.

– Synku – usłyszał zachrypnięty głos.

Odwrócił się i spojrzał na ojca. Włosy na głowie i brodzie Antka zlepły się, tworząc maleńkie sople lodu, a siną twarz pokryła pajęczyna bruzd, wyżłobionych w poszarpanej martwej skórze. Choć Antek kurczowo trzymał się życia, był już trupem.

Janek wyciągnął przed siebie rozczapierzoną dłoń i przeszył go nienawistnym spojrzeniem.

– Nie waż się mnie tak nazywać – syknął, a z jego palców trysnęły pojedyncze wiązki formującej się błyskawicy.

Piorun sięgnął celu, trafiając mężczyznę prosto w serce.

Nędzowa nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Kręciła się niespokojnie po chałupie, chodząc od okna do okna. Większość mieszkańców wsi puciekąła z domów i schroniła się w ziemiankach, ale nie ona. Uparta kobieta została w chacie. Tylko tutaj czuła się bezpiecznie i tylko z tych okien mogła obserwować szalejącą na zewnątrz wichurę. Gdy piorun uderzył w stojącą nieopodal domu sędziwą gruszę, Nędzowa zatoczyła się do tyłu, oślepiąca błyskiem. Oparła się o krzesło. W uszach jej dzwoniło, przed oczami wirowały kolorowe iskierki. Gdy tylko zmysły powróciły do normy, ponownie zbliżyła się do okna. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, był szybujący w stronę okna konar drzewa.

Gdy półprzytomna, ślaniająca się na nogach Aniela dotarła do chaty Michałowej, zastała staruszkę siedzącą jak gdyby nigdy nic na krześle za dębowym stołem. Uśmiechnęła się, rada z tego, że Aniela dotarła w końcu do domu.

– Cioteczko, musimy uciekać! – Dziewczyna podbiegła do niej. – We wsi szaleje jakaś nieczysta siła. Ja sama diaboła spotkałam, gdym od Jadźki wracała.

– Nic nom tu nie grozi – odparła ze stoickim spokojem staruszka. – W każdym rogu chaty wiszą wiązki leszczyny, a i żadna z nas nie rozgniewała planetników. Siednij tu przy mnie, Anielu.

Dziewczyna posłusznie usiadła i delikatnie ujęła pomarszczoną dłoń. Bliskość ukochanej staruszki zawsze działała na nią kojąco.

– Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ta chwila i tak się to skończy – Michałowa rozpoczęła swą opowieść. – Gdy pomagałam przyjść na świat Jankowi, jużem wtedy przypuszczała, że to dziecię jakiego stworza, a nie Antków. Niemowlę było za duże, o wiele za duże. Żebyś ty, dziółcha, wiedziola, jak Jadźka cierpiała, wydając je na świat. Ledwom ją przy życiu utrzymała. Choć tera zdaje mnie się, że to miłość do tego dzieciątka nie pozwalała jej zgasnąć. Jak łona je kochała... Janek rósł jak na drożdżach, a

im większy był, tym mniej do rodziców podobny. Antoś zaczął miarkować, że to może być nie jego, a Nędzowa i inne baby tylko go w tym utwierdzały. Głupie kwoki. Długom nie była pewna, że pod Antkową strzechą chowa się mały płanetnik, choć czasem zdawało mi się, że żywioły słuchają dziecka, a pogoda szła w parze z jego humorami. Gdy pięć років temu Janek nie wrócił nazad do dom, a Jadzka w szaleństwie godała, że dioból odebrał, co jego, jużem była pewna. Potem Antek się rozpił i zaczął prac żonę, ino czekać było jak ściągnie na nas gniew płanetników.

– Ciotuniu – szepnęła przerażona Aniela. – Jam go widziała, tego Jaśka, on... – Nie skończyła.

Zaczęła rozglądać się wokół niespokojnie. Puściła rękę Michałowej i podeszła do okna. Na zewnątrz wciąż szalała burza, błyskawice rozpruwały niebo, przez co na dworze było jasno jak w dzień. Nagle dostrzegła Janka. Płanetnik unosił się w powietrzu na wprost ich chaty.

– Anieeeluuu! – zabrzmiało w jej uszach słodkie wołanie.

– Dziecko, odejdź od okna! – krzyknęła donośnym głosem staruszka.

– Ciociu, to on – oznajmiła rozmarzonym szeptem dziewczyna. – Janek przyszedł po mnie.

Jak zahipnotyzowana ruszyła w stronę drzwi.

– Anielu, stój! – rozpaczliwie prosiła Michałowa, próbując wstać z krzesła. – Nie słuchaj go, nie wychodź!

Lecz ona już nie słyszała. Wiedziona uwodzicielskim szeptem, przekroczyła próg chaty. Nagły podmuch wiatru uniósł ją wprost w ramiona płanetnika.